



RADZYŃSKI ROCZNIK HUMANISTYCZNY  
tom 8, 2010

**Mieczysław Bielski**

## **Moja Galeria Parczewska**

*„Wspomnienia są jak obrazy: ludzi,  
zdarzeń i widoków z dawnych czasów.  
Oprawiłem je w ramy osobistych postrzeżeń  
i pociągnąłem werniksem pamięć”-*

### **Lata trzydzieste<sup>1</sup>**

**P**arczew, małe miasto nazywane czasem królewskim, któremu winno się nadać przydomek „Jagielloński”, bowiem aż pięciu królów z tej dynastii zatrzymywało się tu na dłużej - 23 razy, poznałem w latach 1935- 36.

Wspomnienia - obrazy mam ciągle pod powiekami. Widzę to wszystko, ale nie mogę z nimi rozmawiać. Są jakby za dźwiękoszczelną szybą.

Początki postrzeżeń były fragmentaryczne, ponieważ jako dziecko przyjeżdżałem tu tylko od czasu do czasu. Ale może dlatego, że pamięć dziecka jest bardziej chłonna, widzę to bardzo wyraźnie mimo upływu ponad 60-ciu lat.

Zupełnie nie wiem dlaczego, ale te dawne obrazy ludzi z ich zajęciami ułożyły mi się jakoś parami.

---

<sup>1</sup> Tekst ten zajął I miejsce w konkursie „Wspomnienia o dawnym Parczewie” w 2001 r. Został opublikowany w wersji niepełnej w Roczniku Parczewskim t. 2, 2007, s. 238-244.

A więc ad personam. Proboszczem w tamtym czasie był ksiądz Roman Wilde o aparycji i manierach księcia. Był dość nowoczesny jak na tamte czasy, jeździł bowiem rowerem, naturalnie damskim, ponieważ nikt wtedy nie wyobrażał sobie, aby ksiądz mógł występować publicznie inaczej jak w sutannie. Drugim był wikary ks. Radek. Szczupły, prawie chudy, podobno chorował, miał płonące oczy, szczególnie, gdy głosił kazania. Był naprawdę doskonałym mówcą.

Następna para ludzi-obrazów to lekarze. Doktor Zygmunt Tomaszunas, nazywany przeze mnie „dobrotliwym olbrzymem”, był zawsze spokojny i pogodny. Mieszkał i przyjmował w domu przy ul. Kolejowej, prawie na samym rogu z drogą na Królewski Dwór. Był prawdziwym społecznikiem. Widziałem na własne oczy jak potrafił ubogiemu choremu dawać pieniądze na lekarstwo, które przed chwilą mu zapisał. Był doskonałym lekarzem o ogromnej praktyce. Miał do pomocy również dwie siły fachowe: panią Aurelię Krupową, wspaniałą dyplomowaną położną i wykształconą własnym sumptem pielęgniarkę p. Korolewską. Leczył mnie na bardzo groźną ówczesnie chorobę dyfteryt, a także na reumatyzm tak skutecznie, że mimo upływu dziesiątków lat nie mam ani żadnej deformacji stawów, ani zniszczonego serca. Doktor Tomaszunas miał dwoje dzieci: syna Stasia i córkę Birutę zwaną pospolicie Basią, obecnie prof. med. Fąfrowicz<sup>2</sup> w Lublinie.

Drugim lekarzem był dr Messis, Żyd, również bardzo dobry lekarz. Mieszkał wtedy przy ul. Kolejowej w obecnym domu p. Filipowiczów, należącym kiedyś do państwa Sidorów. Moja matka spotkała go w roku 1944 na ulicy w Parczewie. Był jakimś komisarzem w Armii Czerwonej. Elegancko ubrany w płaszcz skórzany, wyróżniał się spośród zbiedzonych, nieraz brudnych i w bardzo zniszczonych mundurach żołnierzy radzieckich. Naturalnie udał, że nie poznaje matki. Byłoby to przecież nawet dla niego niebezpieczne przyznać się do znajomości kogoś ze sfer ziemiańskich.

Następna para to aptekarze. Jednym był mgr Jabłoński, zwany przez znajomych Perciem. Może miał na imię Piotr. Apteka jego mieściła się na początku ul. Kościelnej, tam gdzie są obecnie dwa sklepy odzieżowe. Jeszcze przed wojną sprzedał tę aptekę p. mgr Roli.

Drugim aptekarzem był p. Kalicki, który otworzył aptekę przed samą wojną. Niestety został wywieziony przez Niemców do Oświęcimia i tam zginął. Jego żona p. Kalicka prowadziła tę aptekę przez wiele, wiele lat. Jest to ten sam lokal, gdzie znajduje się obecnie apteka p. Bajkowej.

O ile przed wojną nabywało się leki robione przeważnie na miejscu, to specyfiki gotowe i inne urządzenia potrzebne chorym nabywało się w tak zwanych składach aptecznych. Tych było w Parczewie też dwa. Na rynku, w jedynej zresztą przedwojennej dwu piętrowej kamienicy, w której jest obecnie na parterze apteka p. Mitczuków, był ogromny skład apteczny p. Feliksa Kaczyńskiego. Miał on dwoje dzieci: syna Mieczysława i córkę - chyba Jadwigę, która wyszła za sędziego Strużaka.

---

<sup>2</sup> Prof. dr hab. n. med. Biruta Fąfrowicz - kierownik Katedry i Kliniki Chorób Płuc i Gruźlicy na Uniwersytecie Medycznym w Lublinie w latach 1976-1996.

Drugi skład apteczny był przy ul. Kościelnej róg Żabiej, teraz jest tam duży sklep z obuwiem i księgarnia, bank SKOK<sup>3</sup> i kancelaria adwokacka. Prowadził go p. Mieczysław Sawicki, bardzo małego wzrostu, jakby trochę przygarbiony. Zmarł w Parczewie i jest pochowany na starym cmentarzu.

Następne pary parczewiaków na mych obrazach – wspomnieniach to jakby się powiedziało obecnie: handlowcy, a według określenia dawnego – sklepikarze. Oto dwie Żydówki. Jedna z nich nazywała się Cynka, a drugą nazywano „Czarna Frania”.

Inni handlowcy to para Polaków, mająca sklepy ogólnospożywcze: pan Mitura i pani Cieplińska. Wydaje mi się, że były one chyba w okolicach rynku, obecny Plac Wolności. Przed samą wojną chyba w roku 1938 przyjechało do Parczewa dwu Polaków z poznańskiego. Jeden miał zakład z rowerami i nazywał się Miedziński. Jego córką jest p. Maryla Waszkiewicz, żona Stanisława Waszkiewicza, a drugi to p. Ciesielski mający sklep z materiałami, jak to się nazywało ówczesznie – bławatny.

Następna para handlowców to masarze. Potężnej postury pan Wąsik, mający swój sklep w rynku i pan Pierożyński, mający masarnię na rogu ul. Warszawskiej i Żabiej. Pan Wąsik spoczywa na parczewskim cmentarzu w jego starej części przy głównej alei, a na pomniku jest jego bardzo dobra fotografia.

Następna para to małżeństwo fotografów - państwo Hemzaczkowie, mający swoje atelier przy ul. Kościelnej, zaraz przy domu wieloletniego organisty parczewskiego pana Olszewskiego, który też leży na naszym cmentarzu. Był to człowiek bardzo bogaty jak na tamte czasy. Miał chyba cztery córki, z których znałem tylko dwie mieszkające w Parczewie i tu pracujące panie: Regina Uruska, żona zamordowanego w Katyniu oficera i Aleksandra Sierpińska, żona wywiezionego do Oświęcimia i tam zamordowanego bardzo przystojnego pana.

W Parczewie w tym czasie było też dwóch felczerów. Pan Czechowicz o bardzo dużej praktyce ogólnolekarskiej i pan Siwczyk, zajmujący się dentystryką. Jego zięć Waszkiewicz został wywieziony po 1944 roku do łagru sowieckiego, a córka przez wiele lat prowadziła gabinet dentystryczny. Pan Czechowicz mieszkał w domu przy ul. Kościelnej nr 33.

Następni parczewiaci, których pamiętam i których naturalnie widzę, a więc są w mojej galerii, byli o zupełnie różnych zawodach. To dentyстка pani Sedlaczek, mająca gabinet na piętrze domu przy ul. Kościelnej, gdzie jest obecnie Bank Spółdzielczy. Następna postać to fryzjer Wawruch. Była to szczególna osoba. Podoficer legionowy. Nie cierpiał Żydów i komunistów. Wysoki, bardzo żywotny i zawsze wesoły. Miał swój zakład przy dawnej ul. Pierackiego, obecnie Wojska Polskiego, w budyńeczku, który stoi do tej pory. Znajduje się między dawną przedwojenną pocztą obecnie komendą Policji a wielkim budynkiem szkoły przedwojennej im. Stanisława Staszica, której kierownikiem (przed wojną nie było dyrektorów szkół, lecz kierownicy) był pan Bożyk, wywieziony do Oświęcimia i tam stracony.

Następny parczewiak w mej galerii to kowal pan Sadowski, który mieszkał i miał kuźnię nad rzeką Pivonią. Był to wspañiały fachowiec, szczególnie w zakresie kucia koni, a należy pamiętać, że przed wojną koń był główną siłą pociągową. Wiel-

---

<sup>3</sup> Spółdzielcze Kasy Oszczędnościowo-Kredytowe.

ką umiejętność stanowiło dobre podkucie konia. Podkowa musiała się dobrze i długo trzymać na właściwie przyciętym kopycie, a hufnale, gwoździe do podków winny być tak białe, aby koń nawet przy ciężkiej pracy lub szybkim biegu nie kulał. Prawie wszystkie dwory kuły swe konie właśnie u pana Sadowskiego. Miał przy kuźni specjalne urządzenie, aby można było okuć konia nawet takiego, który bił kopytami w czasie tego zabiegu.

Parczew przed wojną, jak wiele małych miast, był zdominowany przez Żydów, ale w mojej pamięci, a więc i w galerii poza wyżej wymienionymi dwiema Żydówkami są tylko czterej. To rodzina Mandelkernów. Ponieważ nie znałem ich wieku wymieniam w kolejności majątkowej. A więc najpierw Lejba, bardzo bogaty kupiec rybny, handlujący z pobliskimi majątkami rybackimi jak: Siemień, Sosnowica, Tyśmienica i chyba Komarne. Latem zaliczował ryby, a przed Bożym Narodzeniem wywoził samochodem-cysterną do Warszawy. W tamtych czasach był to duży postęp handlowy. Do samochodu mającego żelazny basen napełniony wodą z doprowadzonym tlenem ładowało się ryby późnym wieczorem, nocą jechało do Warszawy i na rano żywe ryby były sprzedawane w Halach Mirowskich. Kierowcami tego samochodu u Lejby byli dwaj parczewiaczy, bracia Dziewulscy: Apolinary powojenny wieloletni kierowca autobusów spółdzielczych zwanych „Matysiakami” i Stanisław, późniejszy kierowca karetok pogotowia ratunkowego przy szpitalu parczewskim. Tenże Lejba Mandelkern miał swój prywatny bank. Mieszkał przy ul. Kościelnej. Dom ten do tej pory stoi i jest oznaczony numerem 25. Lejba chodził w jedwabnym chałacie śliwkowego koloru i o ile pamiętam raczej w jarmulce. Lejba Mandelkern miał jak prawie każdy Żyd kilkoro dzieci. Ja znałem tylko dwóch. Starszy trochę garbaty, grał ładnie na skrzypcach. Został zastrzelony przez Niemca na tyłach ich domu przy Kościelnej. Młodszy, a może najmłodszy został wysłany przez ojca do jeszybotu w Lublinie. To taka talmudyczna akademicka, ortodoksyjna, uczelnia rabinacka. Mieściła się ona przy ul. Lubartowskiej tam gdzie jest obecnie Collegium Maius. Ten najmłodszy syn Lejby przeżył wojnę i raz był w Parczewie. Przyszedł nawet nie wiem po co do mego ojca. Potem wyjechał do Kanady.

Drugim z tej rodziny był brat Lejby Manys, poważny kupiec zbożowy. Ubrał się zawsze po europejsku w doskonale garnitury szyte na pewno na zamówienie. Nigdy go nie widziałem w chałacie lub krymce. Nosił również eleganckie kapelusze i używał wody kolońskiej dobrej marki. Był bardzo przystojny i potrafił zachować się nienagannie. Co ciekawe ten raczej nie ortodoksyjny Żyd, przynajmniej z ubioru i zachowania ożenił się z córką rabina. Wiem, że nawet proszono mego ojca na wesele.

Trzecim z tej rodziny był raczej ubogi Jankiel. Miał długą czarną brodę i zajmował się dzierżawą sadów w majątkach ziemskich.

Czwartym bratem był Herszek, wysoki, ryży. Miał chyba jako swój majątek rower, którym, jeździł po okolicy i zajmował się drobnym handlem. Do mojej galerii, choć nie mieszkał w Parczewie włączam ojca wyżej wymienionych Mandelkernów, Chaima. To był bardzo stary Żyd, który na stałe przebywał w Siemieniu. Jego właśnie jako jedynego Żyda widziałem w stroju rytualnym w czasie modlitw szabasowych.

To byli ludzie. A widoki? Zapamiętałem dwa. Mam je pod powiekami, a więc umieściłem w swej galerii. Jeden jak u Józefa Brandta (olej rodzajowy): konie, wozy, ruch, tłok. To właśnie most na Konotopie w dzień targowy. Pobierano tam myto, czyli

opłatę za przejazd furmanek. Jednokonna płaciła mniej, a parokonki więcej. Chyba aż 50 gr. Proszę sobie wyobrazić: ulica Warszawska, naturalnie brukowana tak zwanymi kocimi łbami, zwężona trochę głębokimi rynsztokami i mostem, na którym uwijali się pobierający tę opłatę. Tłok, krzyki, rżenie koni, nie raz świst bata i turkot kół. Każda furmanka czy inny pojazd musiał zatrzymać się choć na chwilę aby uiścić myto.

Drugi obraz jest zupełnie inny. To pejzaż, akwarela, choć związany z miastem, ale prawie wiejski. To droga na Królewski Dwór. Każdy starszy parczewiak, jeśli mu się powie „magłownica”, będzie od razu wiedział o co chodzi. Kiedyś zwana właśnie drogą na, lub przez Królewski Dwór, albo Traktem Radzyńskim, dziś ulicą Władysława Jagiełły wiodła przez tereny trudno przejezdne z powodu grząskiego gruntu. Wiem, że konie wiosną potrafiły tam grzęznąć. Słyszałem, że podczas pierwszej wojny światowej Niemcy, gdy wkroczyli do Parczewa nakazali utwardzić tę drogę, układając w poprzek długie na kilka metrów pnie drzew. Stąd nazwa „magłownica”. Pnie te gniły, jedne prędeż, drugie wolniej i w związku z tym występowały poważne dziury nieraz trudne do przejechania. Ale nie było grząsko. Naturalnie zgniłe były zastępowane nowymi i tak przetrwały dziesiątki lat. I właśnie tę drogę z jej dziurami, wypełnionymi błotem i wodą, z bocznymi rowami też przeważnie wypełnionymi wodą zapamiętałem jako dziecko bardzo wyraźnie.

A potem przyszła wojna z jej trudnościami i okropnościami. W jej pierwszym roku mieszkając w Siemieniu przyjeżdżałem do Parczewa raczej nieczęsto, bo nie było po co i raczej nie bardzo bezpiecznie. Następne półtora roku mieszkałem z rodzicami daleko od Parczewa i z tego powodu w mojej galerii jest tu przerwa.

#### Feldgrau<sup>4</sup>

Wspomnienia moje z okresu wojny zaczynają się jesienią 1942 roku, bowiem w tym czasie sprowadziliśmy się do Parczewa. Zamieszkaliśmy w domu księdza Antoniego Hanicza przy ul. Kolejowej. I właśnie ten pierwszy obraz jest straszny, bowiem był to dzień wypędzania Żydów z getta parczewskiego. Niemcy pędzili całą kolumnę zbiedzonych, wyniszczonych, czasem ledwie wlokących się ludzi. W pewnej chwili jakaś Żydówka upadła akurat na wprost naszego okna. Konwojujący Niemiec natychmiast ściągnął z ramienia karabin i strzelił do niej. Była dosłownie pod jego nogami. Zginęła na miejscu. Niemiec kazał idącym obok położyć ją pod samym naszym oknem i kolumna poszła dalej na stację kolejową. Mam ten obraz niestety w oczach i przypuszczam, że zostanie mi to do końca życia.

Tak samo jak drugi obraz wypływającej z pod parkanu aresztu krwi ludzkiej. Pracowałem wtedy w drukarni mieszczącej się zaraz obok areztu na obecnej ul. Bema. Było to wiosną 1943 roku. Niemcy wyłapywali Żydów gdzie tylko się dało i zwozili ich przeważnie nocą do tego areztu, ogrodzonego zwykłym parkanem z cienkich desek-calówek. Rano około 9-10-tej godziny przychodziło kilku Niemców. Wcześniej kazali przyjeżdżać wozakom żydowskim, którzy ustawiali wozy koło kuźni i domu pana Sadowskiego. Jedli tam, grali w karty i rozmawiali, czekając na wywóz trupów. Za tym aresztem była ubicacja, do której

---

<sup>4</sup> Feldgrau (dosłownie niem. „polowa szarość”) - kolor mundurów armii niemieckiej, używanych od przełomu XIX i XX wieku do roku 1945. Odcień feldgrau jest szarzielonkawy, wg systemu RAL oznaczany 7009.

chodzili pracownicy drukarni, w której pracowałem. Maszyna drukarska pracowała dość głośno. Słyszałem strzały, ale nie zdawałem sobie sprawy, że tuż obok dosłownie o kilkadziesiąt metrów odbywa się egzekucja. Wracając kiedyś z tej ubikacji zobaczyłem stróżkę krwi wypływającą z pod tego parkanu. Miała może długości około jednego metra i szerokości półtora-dwa centymetry. Na końcu w zagłębieniu ziemi utworzyła się kałużka z tej krwi. Mała, ale to była przecież ludzka krew. Działo się to w miejscu, gdzie jest obecnie ulica Bema, koło obecnego Domu Kultury, który jest nadbudowanym, dawnym z okresu wojny aresztem.

Dalszy ciąg mojej galerii z okresu wojny układa się znów parami. A więc księża: proboszcz Edward Jabłoński, niski, otyły zapoczątkował wymianę starych ołtarzy z dawnego kościoła. Tym, który powstał staraniem tego proboszcza, jest ołtarz Świętego Antoniego. Ksiądz Jabłoński był muzykalny. Ładnie grał na pianinie. Drugim też muzykalnym księdzem w tym czasie był kolega seminaryjny proboszcza ks. Antoni Zaręba. Bardzo ładnie grał na skrzypcach i pianinie, oraz pięknie śpiewał. Miał bardzo niski, jakby aksamiitny głos. Poza tym był świetnym kaznodzieją. W Parczewie było w tym okresie dużo inteligencji. Wysiedleni z Poznania i okolic byli ludźmi o naprawdę wysokim poziomie intelektualnym. Kazania ks. Zaręby choć były głoszone przeważnie na mszy o godz. 7 rano gromadziły wielu ludzi. Były głębokie, z nutą patriotyczną i do tego mówione piękną polszczyzną.

Następni są znów lekarze. Tym razem obaj wysiedleni: dr Milewicz, wysokiej klasy chirurg i dr Piekarski. Pierwszy mieszkał w domu przy ul. Kościelnej, tam gdzie uprzednio był gabinet felczera Czechowicza. Drugi w domu ks. Hanicza na Kolejowej. Następni w mej galerii to też wysiedleni, których tu rzuciła wojna. Dyrektorem (Prezesem) Spółdzielni Rolniczo-Handlowej „Rolnik”, nie wiem, jakie miał w tamtych czasach stanowisko i tytuł, był p. Radomski. Małego wzrostu z obfitą czupryną. Wybitnie energiczny, doskonale mówiący po niemiecku. Prowadził tę Spółdzielnię bardzo dobrze. Nie było słyhać, aby wysługiwał się Niemcom. Za jego rządów nie było aresztowań w Spółdzielni, co było niewątpliwie oznaką, że nie było „urzędowych” donosów na pracowników. A przydziały środków umożliwiających utrzymanie się były dość dobre. Jednak gdy Niemcy cofali się w 1944 r. Radomski wyjechał nie wiadomo dlaczego. Jego zastępcą był p. Jan Posz, pracownik ambasady z przed wojny w Niemczech. Wysoki, bardzo przystojny, lubiany przez pracowników Spółdzielni.

Następni to - kierownik mleczarni p. Jaworski, podobno geodeta z zawodu, ale postawę, sposób poruszania się i wypowiedzenia miał typowo wojskową. Jak większość wysiedlonych będących kierownikami ówczesnych zakładów mówił naturalnie dobrze po niemiecku. O nim też nie słyzało się nic złego. Czyli nie wysługiwał się Niemcom. A to stanowiło o wartości człowieka w tamtych czasach.

Nieformalnym jego zastępcą był p. Władysław Michałowski, syn jakiegoś wysokiego urzędnika państwowego, chyba wicestarosty z poznańskiego. Tenże pan Michałowski był, można powiedzieć, ojcem dla kilku młodych chłopców pracujących w tym czasie w mleczarni. Wśród nich byłem i ja. Pan Michałowski opiekował się nami. Bronił czasem przed bezwzględnym postępowaniem wobec nas, starszych pracowników, którzy ganiali nas jak rekrutów. Razem ze mną pracował w tej mle-

czarni kuzyni mojej przyszłej żony, syn oficera polskiego przebywającego w oflagu, a późniejszy doktor praw Uniwersytetu Poznańskiego i jego prorektor Janusz Szpunar. Pan Michałowski z rodzicami, jako wysiedleni, mieszkali w domu stojącym do dziś przy ul. Cichej. Właściciel tegoż p. Kotliński był chyba ostatnim parczewskim garncarzem.

Drugim ciekawym człowiekiem, któremu zawdzięczam to, że miałem się przy czym uczyć był p. Stanisław Danielkiewicz. Parczew praktycznie podczas wojny był bez światła elektrycznego. Z wynalazkiem Łukasiewicza też było marnie, bo nafta była trudno dostępna. Pan Danielkiewicz, doskonały ślusarz i mechanik zrobił nam wspaniałą karbidówkę z gilzy armatniej, znalezionej przez moją Matkę, podczas pierwszej wojny światowej na polach siemieńskich.

Następnymi wysiedlonymi, których zapamiętałem i umieściłem w mej galerii, choć niczym szczególnym się nie wyróżniali, to kierownik drukarni, gdzie pracowałem, p. Antczak i kierownik rozlewni piwa, p. Snopek, gdzie fikcyjnie była zatrudniona moja siostra. Rozlewnia ta mieściła się w piwnicy przy ul. 11 Listopada 2. Spółdzielnia „Rolnik” miała warsztaty mechaniczne, w których pracowało kilku młodych ludzi związanych z AK lub członków tej organizacji. Paradoxem było, że kierownikiem tych warsztatów był p. Rejwacki, który był więźniem Oświęcimia i został zwolniony. Nie był żadnym jak to się mówiło „kapusiem”, ale bał się strasznie, żeby Niemcy nie wykryli, że w zakładzie, którym on kieruje, jest tajna organizacja. Następną parą w mej galerii to osoby urzędowe - burmistrzowie. Wysiedlony Cherba mieszkający w domu, gdzie był uprzednio Urząd Miasta i Sąd. Nie odznaczał się jakimiś specjalnymi działaniami proniemieckimi. Następnym był volksdojcz Warlikowski. Będąc już przy takich urzędnikach umieściłem w galerii dwu żandarmów niemieckich urzędujących na stałe w domu Bonika przy ul. 11-go Listopada, gdzie mieściło się ich biuro i naturalnie w piwnicach areszt. Paradoxem, a może pociechą dla prowadzonych tam ludzi było to, że przed tym budynkiem stała cały czas, od chwili postawienia go przed wojną do obecnych czasów, figura Matki Boskiej. Ci żandarmi to bardzo przystojny chodzący stale z groźnym psem Jegier i drugi zwalisty, wielki o wyglądzie zwyrodnialca Rozner.

Po tych przykrych wizerunkach przejdę do jaśniejszych, pogodniejszych. To dwaj Akowcy: Mietek Jędruszczak pracujący podczas wojny w warsztatach spółdzielni „Rolnik” i Mietek Jeske wysiedlony z poznańskiego.

Pierwszy spisał po wojnie losy partyzantów w Parczewie i okolicach bardzo dokładnie z udokumentowaniem historycznym, czym niewątpliwie zasłużył się potomności.

Drugi syn przedwojennego dyrektora banku w Poznaniu, mieszkał po wojnie na stałe w Warszawie, ale jako poważny fachowiec w zakresie budowy cukrowni pracował często poza krajem. Jeżdżąc samochodem do Bułgarii, dwa razy korzystaliśmy z jego gościnności. Był przemiłym człowiekiem, bardzo eleganckim, dobrze wychowanym i bardzo przystojnym.

Jestem zobowiązany moralnie umieścić w mej galerii dwóch mych nauczycieli z okresu wojny. Pierwszy z nich to p. Franciszek Pietruszewski, uczący mnie w tamtych czasach: matematyki, fizyki i chemii oraz co dziwne łaciny. Pan Pietruszewski uczył po wojnie przez wiele lat w Gimnazjum, a potem Liceum parczewskim i był bardzo zasłużonym nauczycielem.

Drugi to pan Adam Wrzos, noszący prawdziwe nazwisko Stanisław Glinka. Uczył mnie literatury polskiej i chyba historii. Co ciekawe był on komendantem grupy AL w Ochoży pod Parczewem. Wtajemniczeni wiedzieli o tym, ale podczas wojny lepiej było nie wiedzieć za dużo.

Kończąc moją galerię ludzi, których widziałem, znałem i w jakiś sposób byłem związany, chwała Bogu poza żandarmami i burmistrzami, umieszczam kobietę piękną, energiczną, bardzo w Parczewie przydatną, wysiedloną i osobiście nieszczęśliwą, jej mąż bowiem jako oficer wojsk polskich siedział w oflagu. Tą osobą była pani Halina Andrzejewska, dentystka, mająca syna Tadzika, mego kolegę z gimnazjum parczewskiego. Po roku 1945 państwo Andrzejewscy, mąż jej bowiem wrócił z oflagu, wyjechali do Kalisza.

Wojenny fragment mej galerii rozpocząłem od dwu bardzo drastycznych obrazów. Kończę go też niemiłym obrazem. Bo to była przecież wojna. W dniu 28 czerwca 1944 roku oddział 27 dywizji Wołyńskiej AK pod dowództwem p. porucznika Jana Lissonia ps. Cień zaatakował, celem zniszczenia, stację pomp nad rzeką Piwonią, zwaną popularnie wodokaczką. Akcja miała na celu uniemożliwienie transportów kolejowych cofającej się armii niemieckiej.

Pracując wtedy w mleczarni widziałem jak Niemcy wyjeżdżali na tę akcję. Mam w oczach samochód dowodzony przez jakiegoś oficera wypełniony żołnierzami z zamontowanym na przedzie karabinem maszynowym. Nie wiedzieliśmy wtedy gdzie jadą. Wiadomo było tylko, że do walki z Polakami. Dowódca Cień został tam zabity. Może właśnie z tego samochodu i z tego karabinu.

## Po wojnie

W Parczewie wojna skończyła się latem 1944 r. Zaraz w początkach września tego roku światlejsi ludzie w mieście postarali się uruchomić szkołę średnią. Na czele tej grupy stanęła p. Eugenia Kiwior, przedwojenna polonistka. Jesienią już ruszyło Gimnazjum. Od tego czasu moje postrzegania dotyczyły głównie tej szkoły. Mieściła się ona w dawnym dworku na tzw. „Wróblówce” przy ul. Kościelnej w ładnym parku. Nauka była na dwie zmiany. Czyli aż do wieczora. Młodzież runęła ławą. Wtedy widać było jak można nawet w trudnych warunkach uczyć się.

A więc znów ludzie z tej szkoły. Wspomniana już p. Kiwiorowa - dyrektorka. Małego wzrostu, bardzo energiczna, doskonała polonistka. Drugą polonistką była p. Janina Adolph, stara panna, czasem trochę śmieszna, ale bardzo starająca się przekazać nam zamiłowanie do języka ojczystego. Następnymi w mej galerii są państwo Pietruszewscy. On uczył chemii i fizyki oraz początkowo matematyki, a ona nosząca wtedy nazwisko panięskie Macioch biologii i niemieckiego. Poza doskonałą znajomością przedmiotu była wspaniałym pedagogiem. Wielu uczniów naszej szkoły wspomina ją jako bardzo mądrą wychowawczynię, co w latach powojennych wobec



nieraz dorosłej młodzieży, która miewała bardzo różne przeżycia i czasem przychodziła do szkoły wprost z partyzantki, nie było łatwe.

Drugą też bardzo lubianą profesorką była pani Józefa Wnukowa, historyczka, późniejsza wieloletnia dyrektorka. Była żoną przedwojennego oficera, który zginął w Katyniu. Do naszej szkoły chodziło dwóch jej synów. Jako osoba starsza i dyrektorka zachowywała większy dystans niż pani Macioch-Pietruszewska, ale w jej zachowaniu, wypowiedziach i sposobie bycia czuło się absolutną humanistkę. Naturalnie było sporo nauczycieli-profesorów, bo przecież to była szkoła średnia o dość dużej ilości uczniów, ale nie jestem po to, aby robić spis czy wykaz członków grona. Proszę jednak zwrócić uwagę, że w mych wspomnieniach, czyli na mych obrazach, właśnie tych dwu pań Pietruszewskiej i Wnukowej zamieszczone są inskrypcje podpisane przez dorastającą powojenną młodzież parczewskiego gimnazjum i liceum - „Myśmy je kochali”.

W gronie nauczycielskim był jeszcze ktoś, którego bardzo lubiliśmy. To nasz katecheta, ksiądz Filipek. Grywał z nami czasem w siatkówkę, ale zawsze w sutannie.

A uczniowie? Są w mych wspomnieniach-obrazach. przeważnie ci z mojej klasy. A więc najpierw koledzy, z którymi siedziałem w jednej ławce: Miecio Janik, cichy, spokojny, grający na gitarze, mający zacięcie aktorskie, dobry matematyk. Ożenił się potem z naszą koleżanką z klasy Zosią Podgrabińską, późniejszą lekarką, bardzo inteligentną, dobrą recytatorką, lubiącą literaturę. Niestety już nieżyjącą. Romek Gumel, ogólnie bardzo dobry uczeń, skończył później Politechnikę Warszawską. Był pilotem. Niestety już nie żyje. Marian Chomicz, dobrze grający w piłkę nożną, późniejszy ksiądz i wieloletni prefekt parczewski. Już nie żyje. Wacek Pawłowski, parczewiak, doskonały uczeń, bardzo koleżeński, lubiany przez wszystkich. Był naj... pod każdym względem. Niestety był pierwszym z naszej klasy, który odszedł na wieczną wachtę, niedługo po maturze.

Następny też bardzo miły i koleżeński to Rysiek Zakrzewski. Miał z bratem Mieczysławem zakład fotograficzny przy ul. Warszawskiej. Skończył Politechnikę Warszawską, był bardzo zdolnym chemikiem. Już nie żyje .

W naszej klasie był też był Zdzisiek Kaczko, grający na mandolinie. Bardzo miły kolega, dobry siatkarz. Już nie żyje. Ostatni z naszej „paczki” to Jurek Krupa, doskonały gracz piłki siatkowej, o specyficznym poczuciu humoru, bardzo wyrafinowanym. Dalsi koledzy to Rysiek Zelek z niższej klasy o ogromnym zacięciu aktorskim. Tak granego Harpagona widziałem później tylko w zawodowych teatrach wysokiej klasy. Jurek Bialic wybitnie zdolny uczeń we wszystkich przedmiotach. Jego świadectwa miały najwyższą lokatę w całej szkole. Już nie żyje. Wanda Kleszczyńska, bardzo dobra uczennica z wyższej klasy, z którą występowałem w recytacjach teatralnych. Basia Lato, czarniutka, śliczna dziewczyna, w której podkochiwaliśmy się prawie wszyscy.

Sam byłem niezłym uczniem, ale naturalnie zdarzały mi się też wpadki i Pani Macioch-Pietruszewska skwitowała to kiedyś na jakimś wieczorku literackim własnym wierszykiem do mnie: „To rzecz pewna twa. matura, widzę same dobre noty, wiesz co postęp, co kultura jednak miewasz i kłopoty, zwłaszcza gdy o chińskim

niebie, trzeba mówić coś w potrzebie. Teraz jednak po półroczu pragnę widzieć piątki rzędem, wolno tego mi wymagać gdy nie parasz się urzędem". Naturalnie chodziło tu o tzw. małą maturę, a ja objąwszy przewodnictwo uczniowskiego samorządu szkolnego po Antku Maliszewskim, partyzancie akowcu, który wyjechał w poznańskie, też ustąpiłem tłumaczając się przygotowaniem do egzaminów.

Należało koniecznie umieścić w galerii woźnego pana Piaseckiego, który był tak inteligentny, że na klasówkach, w których celował pan Pietruszewski, czy egzaminach, zdawanych co pół roku potrafił, gdy wyszliśmy z klasy podawać rozwiązania matematyczne, zawsze bezbłędne, które sani wykonał.

Galeria moja z tego okresu jest dość skąpa, bowiem po zdaniu małej matury w 1946 roku przenieśliśmy się do Lublina na pięć lat.

To byli ludzie. A widoki i zdarzenia. Jeden bardzo przykry jeszcze latem 1944 roku. To straszny pożar ulicy Szlacheckiej zwanej obecnie Mickiewicza. Zaczęło palić się naraz kilka stodół pełnych zbiorów, a potem przeszło na domy, przeważnie drewniane. Przyjechały nawet zawodowe jednostki straży chyba z Lublina i Lubartowa. Były głosy, że pożar powstał od strzału z raketnicy między stodołami oddanego przez jakiegoś żołnierza radzieckiej jednostki stojącej właśnie na tej ulicy. Czy to była prawda, nie wiem i nigdy więcej o tym nie słyszałem, ale nastrój był bardzo wrogi, tym bardziej, że w czasie tego pożaru oddział ten nie brał udziału w gaszeniu lecz na rozkaz wycofał się z Parczewa.

Drugi obraz to nasze szkolne teatryki i zabawy. Wieczorki recytatorskie w formie żywych obrazów. Szczególnie utkwił mi obraz zabawy, którą urządziliśmy w parku przy szkole. Było to chyba w czerwcu. Pogoda była wspaniała. Pomiedzy drzewami rozciągnęliśmy lampiony. Orkiestra naturalnie była jak w tamtych czasach nie mechaniczna. Były śpiewy i korowody po alejkach parku. Gośćmi byli naturalnie rodzice uczniów. W okresie wojny byliśmy pozbawieni tego rodzaju rozrywek i dlatego jawiło mi się to jak obrazy impresjonistyczne.

Opracowanie niniejsze miało dotyczyć „wspomnień o dawnym Parczewie”, a więc według mego rozumienia co najmniej pięćdziesiąt lat wstecz od chwili, gdy są pisane. Gdybym liczył sobie sto pięćdziesiąt lat, miałbym większy okres do opisanego. Ale mam raptem połowę tego i dlatego kończę je na roku 1946.

Ale ponieważ określiłem moje wspomnienia jako galerię obrazów, ludzi, zdarzeń i widoków, robię kilka wyjątków.

Pierwszy - dla najstarszego przemysłowego zakładu pracy, w którym przepracowałem kilkanaście lat. To huta szkła przekształcona z pierwotnej krochmalni niedługo po pierwszej wojnie światowej. Potem już była aż do dzisiaj hutą szkła. Podczas drugiej wojny robiono tam kamienne garnki w małym zakresie. A oto obrazy - widoki: bardzo ciekawie wyglądał spust roztopionego szkła na okres remontu wanny. Wyłożony specjalnymi blokami kamiennymi kanał kończył się wykopany dołem ziemnym. Gdy wszystko było gotowe, łącznie ze stojącą w pogotowiu ekipą strażacką, wybijało się w boku wanny hutniczej kilka bloków i tamtędy płynęło jak lawa, wolno, ale groźnie półpłynne szkło. Początkowo szybciej, potem coraz wolniej krzepnąc po bokach, trzaskając i pękając z hukiem. Gdyby nie daj Boże ktoś wpadł tam, nie byłoby ratunku. Ta lawa szklana miała podobno około 800 - 900 stopni.

Drugi widok z huty, który utkwił mi w pamięci to wspinaczka po kominie bez żadnego zabezpieczenia. Huta miała komin ceglany wysokości ponad 30 metrów. Kiedyś nie było po jego zewnętrznej stronie żadnych klamer. Komin ma na sobie tylko jakby obręcze żelazne skręcone z dwu stron na duże śruby. Odległość między poszczególnymi obręczami wynosi około dwa metry. Ponieważ kiedyś przerwał się wysięgnik od piorunochronu umieszczonego na szczycie należało to naprawić. Wejść można było tylko po obręczach. Kierownictwo Huty znalazło takiego fachowca, który podjął się tego zadania. Bez żadnego zabezpieczenia, mając tylko ze sobą drabinkę żelazną z trzema bocznymi szczebelkami, zakończoną hakiem wszedł te trzydzieści metrów prawie pionowo po wyżej wspomnianych obręczach przylegając ciałem do ściany komina. Zrobił co należy i szczęśliwie zszedł. To był dosłownie człowiek mucha jak z pokazów filmowych.

Drugi wyjątek tyczy naszej szkoły, czyli obecnego Liceum im. Mikołaja Kopernika. Zajmuje ono obecnie duży budynek przy ul. Mickiewicza z ogromnym placem - boiskiem i ogrodem. W latach 1985 i 1995 zrobiliśmy zjazdy koleżeńskie dawnych roczników. Naturalnie byli zaproszeni jako honorowi goście nauczyciele, dawni i obecni, wśród nich witane szczególnie owacyjnie panie: Wnukowa i Pietruszewska. Na pamiątkę tych zjazdów zostały wmurowane tablice.

Trzeci wyjątek to postawiony w roku 2000 staraniem księdza Mieczysława Marczuka, proboszcza parafii, Krzyż Milenijny, który mam nadzieję będzie stał kilkadziesiąt lat w śródmieściu Parczewa.